Lwów 9. Października **№ 120.** Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr. **20** kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr. za następ. po **1½** kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

Radziwiłł Panie kochanku!

III.

(Ciąg dalszy.)

Pan Drzwiowski przybywszy do Nieświeża, wysiadł po za bramą, i zdjął nawet futro niedźwiedzie, które powierzył furmanowi. Miało to swoją ważną przyczynę, bo już to futro dało księciu Karolowi powód do cierpkiego żartu.

— Pan Loran panie kochanku! mówił on; chciałby przeciągnąć zimę rok cały, byle miał sposobność produkować się ze swojemi niedźwiedziami.

Dzień przybycia do Nieświeża był bardzo szczęśliwie wybrany, w tym bowiem dniu, który był aniwersarzem śmierci ojca, książę Karol unikał wszelkiego zgiełku. Szlachta okoliczna i odleglejsza wiedząc o tem, wstrzymywała się tego dnia od najazdów na Nieśwież.

Książę Karol tego dnia nietylko że bywał obecny całemu nabożeństwu i exekwiom, ale sam własnoręcznie znaczne rozdawał jałmużny, a nareszcie dla większej prywacyi, kazał zastawiać stół jak najwykwintniej w najlepsze jadło i trunki, lecz ich nie ruszał dzień cały. I oddawał się dnia tego największej samotności, podczas gdy w osobnem skrzydle księża licznie zgromadzeni jak najgościnniej podejmowani bywały. Rekolekcye te trwały całą dobę.

Owoż w taki to dzień znajdujemy księcia, siedzącego w salonie, który przytykał do sali hetmańskiej. A w tej sali był tron, po polskim królu Janie III. spadły w sukcesyi na Radziwiłłów, po siostrze króla Jana, z którą się był ożenił jeden z Radziwiłłów. Książę Karol był jak zwyczajnie tego dnia smutny, znudzony i fatalnie głodny, wesołe zwykle rysy twarzy jego w dziwnej zostawały sprzeczności z skrzywioną dnia tego miną. Nikt też z dworaków nie śmiał się dnia tego przybliżyć do niego.

Na stole obok księcia leżała gazeta warszawska, księga do modlenia, w czarny safian oprawna, której nie zużywana kompaturka okazywała, jak rzadko otwierana bywała; dalej regulamin poczt, przez króla podpisany i niedawno drukowany. Ten właśnie wpadł księciu nieszczęśliwie do ręki, długo on trzymał w ręku ten arkusz bibulasty, przypatrywał mu się z uwagą, aż wreszcie pomiąwszy, odrzucił od siebie.

— Głupi! osioł! zawołał razy kilka.

I znowu znudzony przechadzał się po salonie i dumał sobie; a nie bardzo wesołe przesuwały mu się myśli.

Jest księztwo kilkuwiekowe, są obszerne dobra, które razem zebrane, małe królestwo stanowić mogą; jest zdrowie, są świetne alianse z panami europejskiemi, są błyskotki osobiste, województwo i ordery; cóż z tego, kiedy korony niema? Jakby to człowiek doskonale rządził panie kochanku! bo to przecie nie trudno... W dzisiejszem położeniu mojem nudzą mnie rządzcy zwożeniem dochodów i składaniem rachunków. Tam zaś staliby ministrowie cywilizowani, którym dość jedno dmuchnąć słówko, a oni zrozumieją, i dalej wykształcą. Teraz nudzi mnie milicja moja, a jakby to miło było odbywać przegląd nad wojskami obydwóch narodów. I tak rozkazy wydawać hetmanom i siedzieć samemu na dziarskim koniu, ale nie tak pożal się się Boże, jak pan stolnik, któremu panie kochanku konia pazie prowadzą, a koniuszowie tydzień naprzód obroku ujmują. Zresztą korona na głowie, to najpewniejszy sposób dójść do najodleglejszej potomności i do wiadomości wszystkich narodów przez historją i monety. Ale cóż robić?... Nie ma o czem myśleć!... fata viam invenient; a do tego quod scriptum scriptum.

Nie małe trudności przebył pan Drzwiowski, zanim zdołał się dostać do księcia, do którego nikt ze sług iść nie chciał, by go zameldować. To też ukradkiem prawie przemknął przez schody i wbiegł do księcia Karola, który go jak najserdeczniej przywitał.

— A bogdajcie panie kochanku! bóg sowicie wynadgrodził za to dzieło miłości. Żyj półtora wieku; już dalej z nudoty wytrzymać nie mogę, jak w klasztorze siedzę.

— Bardzo mnie to cieszy jaśnie oświecony książę i panie mój miłościwy, za tak łaskawe przyjęcie.

— Siadajno Drzwiosiu! a potem przejdziesz sobie do sali i najesz się należycie, bo masz tam panie kochanku wszystkiego podostatkiem. Ja dzisiaj na poście, bo to panie kochanku w dniu dzisiejszym parka ojcu memu żywot przerwała. Zapewne i Waść po swoim takie lamenty odprawiałeś?... w którym też powiecie umarł?..

— Mój ojciec odumarł mnie bardzo młodo na Rusi czerwonej; substancja została gdzieś zatraconą; człowiek

się dostał do szkół jezuickich, i tak jakoś się dzieje, widzi oświecony pan, że człowiek goniąc całe życie za chlebem, nie bardzo dzień śmierci ojca obserwuje.

— A to co Drzwiosiu!... pewnie nowa przykrość!... Jam myślał panie kochanku, że Waść przyjechał mnie bawić, a Waści z zanadrza wyglądają jakieś papiery. Zapewne rachunki tych rządców co mnie kradną, skonfrontowałeś już, i chcesz mnie niemi panie kochanku regalizować. Dla Boga! dziś mi ich przynajmniej nie oddawaj! Co tam u licha ciekawego? jeden zbiegł, drugi umarł; w jednych dobrach powodzie, w drugich ognie, w innych znowu pomór był wielki, i tak panie kochanku co roku ad majorem dei gloriam.

— Pozwoli oświecony pan, zrobić się uważnym, iż nie miałbym śmiałości atakować podobnemi mizerjami animuszu pańskiego w dniu dzisiejszym. Jest to inna praca, z wielką subtelnością uskuteczniona, polecona mi od dawna.

— Aha! panie kochanku! abrys na kasarnię.

— Nie, jaśnie oświecony panie! jest to uskuteczniona konfrontacja rodu Waszej Xiążęcej Mości z rodem panów Potockich w Koronie, mająca na celu skrupulatne obliczenie senatorów w obydwóch rodach.

— A jest i wstęp do tego?...

— Jest, Jaśnie oświecony Książe!

— Czytaj Waść, ale senatorów panie kochanku puszczaj waść tuzinami, a jak się tuzin skończy, to mnie awizuj! Zobaczymy kto przetrzyma, ale mnie się zdaje że starosta Kaniowski tandem przegra. Nic to przecie nie pomoże; ja rezultat panie kochanku muszę mieć w kieszeni, bo kto wie, czy się teraz wkrótce nie zjedziemy. Czytaj zatem waść.

I znudzony Książe rozparł się w krześle poręczowem, a ręką wskazał krzesło panu Loranowi, który też zaraz dobył foliału i czytać z niego zaczął.

— „Excerpt sumaryczny z kronik i herbarzy narodowych, również z zimnych głazów i monumentów, ba i z historyi zawsze surowej, ale sprawiedliwej, przez wszystkie wieki sądowniczki, o niezbytej waleczności i zacności, sławie i honorach, a w skutek tego udzielonych zaszczytach całemu rodowi, jakoteż pojedyńczym indywiduom jednego z najpierwszych w Europie rodów, jakim jest dom: Jaśnie oświeconych książąt S. J. R. Radziwiłłów; również rozpoznanie stanowiska, o jak dalece ród jaśnie wielmożnych Potockich w koronie, herbu Pilawa, w godnościach senatorskich przez siebie piastowanych, z tymże jaśnie oświeconym rodem książęcym mierzyć się może; którento excerpt dzieli się na części dwie; na generalną i specyalną jak się to niżej powie; z tych generalna zawierać będzie zaszczyty całych rodów, a specyalna rodów pojedynczych.

— Brawo panie Kochanku! wielki takt, wielką miarę, talent et eruditionem pokazałeś w tem, co dotąd słyszałem. Winszuję ci panie kochanku! sejmową masz waść wymowę; ale czemu to tak rzadko mnie odwiedzasz? nawet dyplom potwierdzający szlachectwo twoje, sam odesłać ci musiałem.

— Jeszcze raz stopy waszej książęcej Mości, mego miłościwego pana całuję, dziękuję najuniżeniej za wysoką łaskę, która się stała moim udziałem; ale jeszcze o jedną proszę z największą submissją, aby zasłona, którą ta cała sprawa dotąd pokryta jest, gwałtownie rozdarta nie została przez kogoś z otaczających oświeconego pana, gdyżbym sobie nawet nie życzył, aby i mój syn, który wkrótce ma przybyć do mnie, wiedział o tem, że konfirmacyą otrzymałem. Chciałbym mu tę pocieszną wiadomość wtenczas dopiero udzielić, gdy się chłopiec ustatkuje, bo teraz jak mi donoszą, bardzo puta, a jeszcze by więcej tracił, gdyby tam miał wstęp, gdzie go dotąd mieć nie może-

— Bądź o to spokojny panie Kochanku, nie takie to sekreta na mojej głowie polegają. Czytaj no Waszeć dalej!

— Zaczynam jaśnie oświecony panie! uprzedzić muszę jednak waszą książęcą mość, iż chcąc uniknąć labiryntu, i niepotrzebnego mnożenia osób, tę godność piastującemu dopisywałem, z którą zmarł, ale nie te przez które przechodził, lub równocześnie piastował.

— Bene est! nie jest to panie kochanku bez pewnego sensu.

Pan Drzwiowski odkaszlnął z pewną uroczystością i tak zaczął:

— Nadszedł był wreszcie i dla tej planety, którą my zowiemy ziemią, czas źrały, w którym Bóg uznał za stosowne i potrzebne, aby takowa mądrym szczyciła się gospodarzem; stworzył więc człowieka, którego uzacnił, jak się wszyscy zgadzają na tę opinionem, duszą nieśmiertelną; ale bezbaw było tyle ludzi, iż ujrzeli potrzebę dla ujścia kłótniom i niezgodom, być rządzonemi; potrzeba było zatem kierujących, dowodzących, sterujących, a w każdej części świata, zatem i w Europie, potrzeba było dla zachęcenia, aby krwią okupione zasługi stały się dziedzicznemi.

Tu książę, którego w tym dniu wszystko nudziło, przerwał.

— Później mi przeczytasz panie kochanku listę senatorów jednego i drugiego rodu, a teraz przejdziemy się po salach, bo mnie bardzo mgli.

Kto u nas nie zna wspaniałości zamku nieświezkiego, z mnogich opisów, mianowicie z tradycyi zachowanych, w niejednej rodzinie, opowiadanych dzieciom i wnukom przez tych, którzy sami niegdyś korzystając z gościnności fantastycznego wojewody, deptali te pyszne posadzki zamkowe, a którzy wraz z wiekiem swoim niepowrotnym zeszli już dawno z widowni świata!

Książe zatrzymał się naprzód w sali hetmańskiej, którą tak zwano dla tego, iż w niej zawieszone były obrazy wszystkich hetmanów litewskich od najdawniejszych czasów. Stanął, zwrócił się do idącego za nim Drzwiowskiego, i podmuskawszy wąsa, wyrzekł z dumnym uśmiechem:

— Ci coś umieli!... Patrz waść na tych przy których trąby malowane, to sami Radziwiłłowie!... a wieluś tam wynotował hetmanów Potockich?...

— Pięciu, oświecony panie!...

— To także nieszpetnie!...

I podkręciwszy znowu wąsa, wszedł do sali, wielką zwanej, przystąpił do okna, i zaczął podziwiać ulubiony swój Nieśwież.

— Patrz no waść panie kochanku!.. co to za cudne położenie!... Żadne ze znaczniejszych miast ani w księstwie ani w koronie czemsić podobnem się nie poszczyci; szkoda że to nie wiosna teraz!... Wtedy to miło jest patrzyć panie kochanku na krzyżujące się ulice. A jaki to ładny widok na szkołę żydowską, na górę świętomichalską, na ratusz, na kościoły Dominikański, bernardyński i pojezuicki. Jakim to mnie smutkiem przejmuje, że już niema poczciwych jezuitów, a jeszcze więcej boleję nad tem, że ojciec Św. panie kochanku nie uwzględnił wstawienia się mego pisemnego za niemi. Albo patrz waść, jak przecudnie w obliczu słońca zimowego wydaje się opactwo świętokrzyskie benedyktynów... Prawdziwie panie Loranie, dodał po krókim przestanku, w którym zdawał się zamarzyć, aż mnie dreszcz przechodzi, jak sobie wspomnę, że kto wie, czyli na dłuższy czas z miejsca tego wydalić się nie będę przymuszony. Ale dla Boga, cóż ta służba wyrabia!... wszystko poznosili, porozrzucali razem, i wszystko w nieładzie, a niby to dla porządku panie kochanku; widać że nie myśleli iż ja tu zaglądnę. Patrz no waść, co to za cudna robota w tym tu ekranie srebrnym; albo co powiesz na to łoże z bogatej materyi, w którym panie kochanku, funtami utonęło srebro i złoto, a które niegdyś w darze przysłał Ludwik francuski Sobieskiemu. To same datki europejskie! Łoże z Paryża, fortepian z Wiednia, a sztuczna szkatuła z Bawaryi! Widzę i mundury tu poznosili; to są mundury które sam rozdawać będę między oficerów wyższej szarży dla zachętki.

— Śliczne, jaśnie oświecony panie! podług herbu!... kontusze granatowe, wyłogi czarne, a żupany paljowe. Lecz widzę tu jeszcze i parę proporców karmazynowych; pewnie jakaś promocja ma nastąpić.

— Ba jakże chcesz panie kochanku! ta tego jest zawsze kilka tysięcy, to się różnie trafia, trzeba dobrych wynadgradzać, złych upokarzać, i jak to mówią na wszystko być przygotowanym, bo nie darmo powiada rzymska maxyma panie kochanku: belli et juris dubius eventus. Idźmy teraz do skarbca; dawno nie byłem w nim, a trzeba przecież zaglądnąć czasem do niego, i bytnością swoją urzędników od infrakcyi straszyć.

— Nie uwierzysz waść! mówił książę postępując dalej jak ja puszczam w odwłokę zbliżenie się do pana exstolnika. Obawiam się odwiedzin, te by dały powód do wielkich rumacyi, bo przecież w takim razie odezwało by się coś w człowieku i piknęło by ze środka: „A kogo to podejmować będziesz książę Karolu?” a odpowiedziało by na to, „taki króla polskiego!” Gościli tu już królowie! Władysław czwarty trzy całe dnie bawił w tym zamku.

(C. d. n.)

WARJANT STAREGO TEMATU.

Niepodobnym obyczajem,
Nie począwszy żyć przestajem.
Jan Kochanowski księga X. Pieśń XV.

Codzień głosim piękne słowo,
Codzień wiedziem żywot trupi,
Codzień mamy żyć na nowo,
Wznieść się sercem, wznieść się głową,
Aż nas w końcu czyn odkupi,
Aż nas w końcu duch oświeci;
Ale starym obyczajem
Słowo szumi a czas leci,
Niepocząwszy, żyć przestajem.

W polach naszych perz i ziele
Potrzebuje rolnej sochy,
W myślach kwitną piękne cele,
Czujem w sercu chwastów wiele,
Które zasiał żywot płochy,
Prędko z gruzów starej nędzy,
Mamy wioski stworzyć rajem,
Lecz śmierć idzie jeszcze prędzej,
Niepocząwszy, żyć przestajem.

Jak ów pielgrzym w Palestynie,
Świat na drzymkę legł złowrogą,
I godzina po godzinie,
Czeka wody aż przepłynie,
By przejść rzekę suchą nogą,
I na ziemi sakwy kładzie:
„Niech wypiję, niech się najem,”
I znów drzymka po biesiadzie,
Niepocząwszy, żyć przestajem.

Wł. Syrokomla.

NOWE DZIEŁA.

Wycieczki po stokach Galicyjskich i Węgierskich Tatrów

przez Doktora Tripplin a.

(Dokończenie.)

Są tam dalej oba bracia Döryeg, zabawne oryginały politycznej niepewności i wątpliwości, jaskrawo w onym cza-

sie który autor opisuje występującej. A prócz tego, gdy jeden ciągle płacze i nad wszystkiem lamentuje, drugi drwi z całego świata i z siebie. Jest ksiądz unicki, Zadmuchlaczek, który ożenił się z cudnie piękną ale cyganką pur sang. Autor ją poznaje, admiruje, i nawet operacją jakąś robi dziecku jej. Jest drugi ksiądz katolicki z Liszki przemadziaryzowany na Liskai-ego. Ta przemiana nazwisk najzabawniej objawia się na doktorze Siebenpfeiferze, który swoje długie dosyć nazwisko przedłużył jeszcze na węgierskiego Cimcerimoranyi-ego.

Rozmowa w Toporcu doskonale skreślona, i rzeczywiście maluje z wielu stron towarzystwo i stosunki węgierskie na początku r. 1848. Autor staje się ulubieńcem tego towarzystwa, które go polubiło, i długo zatrzymuje u siebie.

Opisuje dalej autor jak można najkrociej i najpobieżniej, miasteczka inne na podgórzu Węgierskiem położone, dodając zawsze parę wykrzykników nad pięknościami karpackiej przyrody, co czynić się zdaje z koniecznego obowiązku tytułem książki na się przyjętego; i nawet aby jeszcze więcej sumienie swoje uspokoić, daje nam parę rysów lekarskich o niektórych wodach mineralnych, gęsto na tem Podgórzu rozrzuconych. Przebiega tym sposobem Lubownię, Kesmark z starym zamkiem na magazyn soli przerobionym, w którym się urodził bohatyrski Tökely; Tat-Falu, O'Bela i t. d.

Tem dłużej zatrzymuje się przy wizycie lekarskiej, jaką oddaje baronowi Okuliczanyi-emu cierpiącemu na podagrę. Okolicza, włość barona, leży w dzikiej okolicy u stóp Łomnicy prawie, drogę wiodącą przez lasy, wertepy, pomiędzy przepaście i skały opisuje autor ciemnemi barwami. I słusznie. Jest to bowiem ciemne tło, do starego zamku w Okoliczy, do starego, zchorzałego i znudzonego barona, i do ciemnej i tajemniczej jakiejś historyi rodzinnej, którą się zaraz na wstępie wyszczerza autorowi z pierwszej sceny, artystycznie mu się pojawiającej, czy artystycznie przez autora samego ułożonej.

Baron, zawołany myśliwy, leży na skórze łosiowej, przykryty ogromną skórą niedźwiedzią; przy nim siedzi dziko wyglądający, w skóry obleczony, wysoki i stary strzelec, i jeszcze dziczej wyglądająca śniada i chuda kobieta ze spojrzeniem szatańskiem, z rozczochranemi włosami, ale porządnie ubrana, bo w atłasy, wstążki i pierścienie na brudnych palcach.

To przód obrazu. W głębi jest dwóch młodych ludzi, Wiktor i Julaj, którzy się serdecznie kochają, mieszkają jak panicze na dworze barona, a nie są ani jego synami, ani krewnymi. Czemże są właściwie? Woźnica góral, co wiózł autora, nazwał ich *darami Bożemi*. A znajomi p. Tripplina gdy odjeżdżał do barona, mówili jedni:

— Ratuj go dla Julaja.

A drudzy.

— Daj mu umrzeć dla Wiktora.

Jest zatem jakaś ciekawa, zajmująca tajemnica, którą autor pragnie się dowiedzieć, i dowiedziawszy się nareszcie, nam jej udziela, nie bez krzywdy rodu i nazwiska starego barona. Bo w tej tajemnicy ukrywa się zdarzenie rodzinne, dosyć skandaliczne, które właściwie powinno było zostać w murach starego zamczyska gdzie się wylęgło.

Autor dowiaduje się o niem nie razem, ale po części z podsłuchania, poczęści z opowiadania, co robi wykład tej powiastki i fantastyczniejszym, i artystyczniejszym.

Stary Baron miał żonę, która już dawno umarła, i syna jedynaka, który także już dawno leży w grobach rodzinnych. Giejza i Nagi, dwaj młode pacholęta, chowają się na zamku, lecz nikt nie wie kto oni są; podrzutki podobno czy znajdy. Baron niecierpi Giejzy, a Nagiego dosyć lubi. Znudzony samotnością posyła po Jakóba Ciarysza, owego strzelca wysokiego, którego widzieliśmy przy łożu podagrycznego barona. Ciarysz, był to w ówczas sławny myśliwy, słowak, uchodzący trochę za czarownika, który posiadał różne lekarskie tajemnice, jak to się często u prostego trafia ludu. Ciarysz mieszkał samotny, odosobniony od ludzi, jakby źwierzę jakie w dzikiej, mało komu znanej, niedostępnej prawie, borami i skałami otoczonej jaskini.

Jadą po niego Giejza i Nagy. Mróz trzaskący, na dworze śnieżnica, zawierucha coraz okropniejsza. Mimo zimna i niebespieczeństw drogi zamiecionej i wilków snujących się, dobijają się do jaskini. Po pół nocy gdy księżyc zeszedł, jadą nazad z starym myśliwym, zawierucha coraz większa, wiatr świszcze, a z dala wyją wilki. Coraz bliższe wycia, konie wiatrem uciekają, stado wilków burzą goni za podróżnemi. Zaczyna się walka okropna, długa, ślicznie opisana przez p. Trypplina. Ciarysz był na nią przygotowany; bronią się więc zacięcie palną bronią wszyscy trzech. Wilki padają, ale stado jest ogromne, amunicja i siły się wyczerpują. Niebespieczeństwo bliskie, nieochybne, bezratunkowe. Już się wilki rzucają na konie i podróżnych, gdy nagle z boru padają strzały mnogie. To baron z swojemi myśliwemi i owa cyganka, która wychowała Nagiego, kocha go namiętnie, i przeczuła niebespieczeństwo jakie mu groziło w tej wyprawie. Radość z ratunku pochodząca ogromna. I w tej chwili zapału, pokazuje się łyskawica prawdy. Nagy czyli Julaj jest synem cyganki i barona, a Giejza synem Ciarysza, który jest rzeczywiście szlachcicem, i.... zmarłej baronowej.

Dary Boże tedy są to dzieci, niemające jawnych rodziców.

Autor dowiedziawszy się jedno, a drugiego domyśliwszy, gdy barona starego wyleczył, miesza się w tę sprawę i do tego wpływem swoim doprowadza, że stary Okoliczany adoptuje Julaja i Wiktora.

Aby wycieczki w Tatry godnie zakończyć, rusza autor na górę Łomnicę. Przewodnikiem jest mu stary myśliwy, który jak się pokazuje, nazywa się Jablonsky. Przyłącza się do towarzystwa dwóch ziomków autora. Opis tej wycieczki ładnie dosyć skreślony, nie zawiera wszakże nic nowego, nic więcej charakterystycznego. Z niemałą męką drapią się na górę, w czasie odpoczynku nagradza ich trudy widok coraz pyszniejszy, pobudzający autora do zwykłych turystowskich wykrzykników, nocują w pół góry przy ognisku. Krajobraz nocny, scena romantyczna urozmaicona piękną deklamacją jednego z towarzyszy autora. Do dnia wstaje; drugi towarzysz autora ma mocną gorączkę, nie może się ruszyć, trzeba więc go sprowadzić nazad na dół. Zostawiają tedy przy nim górala jednego, a Jablonsky urządza sposób, jakim ma się chory dostać w dóm.

Sposób ten jest ciekawy i charakterystyczny w górach, gdzie się go nauczono od bobaków, które tak przewożą siano i inne wiktuały do norów swoich. Jeden z największych bobaków kładzie się na wznak, a dwóch innych ładują mu siano na brzuch, jakby na furę. Bobak-fura powstrzymuje siano łapami. Potem dwa silne bobaki wtykają obładowanemu ogony swoje do pyska i ruszają z góry galopem, aby się zaś fura nie wywróciła idą po bokach dwa bobaki i podtrzymują furę w złych miejscach. Otóż w podobny sposób transportuje góral chorego p. Jacka. Pakują go w skórę dzika miękko sianem wypchaną; przez dziury od oczów przeciąga się powróz, do którego zaprzęga się góral, i ruszaj na dół jakby saniami.

Wstępują wreszcie podróżni na najwyższy szczyt Łomżnicy. Od strony Węgier widok cudowny swoją obszernością i widokiem krajobrazu. Lecz dla autora widok ten jest obojętny, bo to ziemia obca; on się obraca ku północy, by rodzinny ujrzeć kraj; patrzy, wytęża oczy, lecz z tej strony po przez bory i góry nic nie widać. Aż nagle po długiem i tęsknem wpatrywaniu się, widzi ten swój luby kraj daleko i szeroko, aż po ziemię sandomierską, po za góry świętokrzyskie. Nie może się długo patrzyć, i drugim pokazuje. Lecz oni nic widzą i nic widzieć nie mogą.

To było jasnowidzenie duszy autora.

Na tem kończy autor swoje wycieczki, a my nasze sprawozdanie, w którem wyraziwszy już poprzednio myśli nasze, dodamy tylko, że wszystkie obrazki, mianowicie powieściowe, oddane z wielkiem życiem. Szkice wszystkie i onych wykład znamionują dzielny talent, a co więcej jeszcze w tej ostatniej pracy autora uderza, styl znacznie i to z korzyścią zmieniony, bo gładszy, więcej wyrobiony i więcej polski. Widać, że już autor przez dłuższe lata zamieszkał w ojczyźnie, i pomału zagraniczne zwroty, które raziły w dawniejszych pracach jego, ustąpiły wyrugowane przyzwyczajeniem do słuchania mowy polskiej i mówienia językiem polskim.

DYARYUSZ ŻYCIA
IGNACEGO ŁOPACIŃSKIEGO.

Pisarza skarb. w K. Lit.

(Ciąg dalszy.)

Piątek i sobotę siedzieliśmy spokojnie, lubo nas dochodziły przestrogi że Korsak ludzi zbiera; w niedzielę zaś rano trzeciego dnia po sessyi, zdało się z JPanem Święcickim odjechać, a generała i człeka quasi dyspozytora zostawić; lecz Leśniewski qua dworzanin, chcąc się tam obłowić, osobliwie z wielkiej krescencyi, był zdania przeciwnego, i dawał nam ad intende, żeśmy się polękali, przez co nas młodych wprowadził w fałszywy punkt honoru, a tak i my determinowaliśmy się do ostatniego bronić. Rozstawiliśmy więc podsłuchy, opatrzyliśmy parkany chłopskie płachtami, drzewa etc.

Aż wtem w kilkaset ludzi zbliżać się zaczął pan Korsak; co ujrzawszy nasze podsłuchy, każdy w swoję stronę pomknął, mianowicie słudzy pana Leśniewskiego i wszyscy pożyczani: ledwie nas wszystkich zostało trzydziestu.

Stanąwszy pod wsią pan Korsak za rzeczką, na której był mostek, przysłał do nas, iż będzie nas atakował, z doniesieniem życząc, abyśmy się rejterowali; ale my rozstawiwszy w około ludzi, sami stojąc we wrotach, odpowiedzieli, iż niech się nie przybliża, bo zginie. Wziąwszy tę rezolucyą Korsak na koniu dropiatym siedzący, sam pierwszy podskoczył na mostek, a za nim wraz ludzie; lecz go chcąc przywitać mój sługa Czywel, i drugi pana Leśniewskiego, Szebel, dali ognia z karabinów. Ale oba Bogu dzięki nie trafili, bo jedna kula rozdarła na nim tylko sołtankę, a druga obraziła koniowi kopyt, przeto on spadł z koniem zmostu i nam się zdawało, że już jest zabity; lecz wraz się koń pod nim porwał i on na koniu dosiedział.

Ale gdy się przybliżył do nas, strzelaliśmy do niego, i do nas ustawnie strzelano, i już się zaczął formalny atak, który trwał przez pół godziny. Ludzie Korsakowscy otaczali w koło domostwo tego chłopa, gdzieśmy byli, które trochę było oddalone od wsi, oraz ze wszystkich stron nas atakowano. Nie mogliśmy wytrzymać natarczywości chłopstwa; nasz przywódca pan Leśniewski, ujrzawszy wielu ranionych, jakoto: Szorca dwiema kulami w rękę, Czechowskiego kosą w głowę, Radolfa trębacza kosą także w rękę, i innych uciekających, zaczął i sam myśleć o sobie, ale konie były w stajni, niezręczno mu było porwać którego, więc prosto pomknął do gumna. Ujrzawszy tam chodzącego chłopskiego konia, na którego gdy chciał wsiąść, Sawaczyński ekonom pana Korsaka strzelił do niego z pistoletu szrótem; jedna trafiła go w palec tej ręki, którą się chwycił za grzywę, a druga sam wierzch głowy zdarła jak bi-

czem zaciął; a tymczasem przypadłszy chłopstwo, zaczęło go okładać cepami.

Pan Święcicki dopadł swego konia, ale nie mógł się wymknąć, w około otoczony chłopstwem, któremu się jak mógł bronił. Przecież go dosięgli dziesiątek razy cepami: salwował go potem sam pan Korsak poznawszy. Podał i mnie masztelarz konia, ale z urwanym cuglem, bo uwiązanym będąc, a usłyszawszy stzzelanie, komosił się i zadzierzgnął się mocno, masztelarz zaś chcąc mi prędko podać konia, musiał urwać cugle. Wsiadłem jednak na niego, lecz o jednym cuglu nie mogłem dobrze kierować. Wymknąłem się przecież za wrota i tylko com chciał pomknąć przez ów mostek, którędy przyjechał pan Korsak, aliście z dołu od rzeczki na zasadzce będący ludzie strzelać do mnie zaczęli, i dwóch chłopów z cepami z tyłu godziło na mnie. Odpędziłem tych chłopów od siebie, lecz z dołu w nogę tyrańsko postrzelony zostałem: zdało mi się zrazu, że ktoś suchy raz zadał, ale niewidząc blizko nikogo, i posłyszawszy wielką gorącość w nodze, domyśliłem się, żem jest strzelony.

Obawiając się więc, aby mi jeszcze kto kulą nie dogodził, wróciłem się nazad, i wjechawszy do stajni, z masztalerzem się w niej zamknąłem. Gdy zaś z konia zacząłem następować na nogę, z gorącego czasu zdało się że niebardzo bolała i przystępować mogłem; ale włożywszy rękę za cholewę, namacałem krwi niemało. Dobywać mię zatem chłopstwo w stajni zaczęło; lecz gdy zmierzyłem do nich z pistoletów, które już były wystrzelone, uciekało odemnie. Kazałem więc prosić do mnie pana Korsaka samego, który wraz przyszedłszy, gromadnie zaczął mówić, abym się zdał.

Otworzyłem więc wrota i rzuciłem pistolety od siebie, szablę jednak na temblaku miałem; on zaś poruszony passyą, wyrzekłszy te słowa: „nie miałeś litości kazać do mnie, jak do psa strzelać“, porwał się do szabli i chciał mię ciąć, alem się mu szablą rzucił; kilka jednak razy przyciął na mnie, a ujrzawszy krew na ręce mojej, rozumiał, że mię zaciął, i zreflektowawszy się, zaczął mię żałować, wszystką złość wywierając na Leśniewskiego, którego ciężko zbitego przywieziono wraz do tejże stajni. Wziął mię potem za rękę Korsak, chcąc zobaczyć cięcia, którą gdy mu wyrwawszy rzekłem: „że niełatwo mógł mię zaciąć, ale że ta krew jest z postrzału“, srodze się użalał, i zaczął narzekać na ludzi, że mnie nie oszczędzali, lubo im było przykazano.

Zdjęto mi zatem but, i on sam rozdarłszy swoję chustkę, obiedwie mi rany zawiązał. Pytał się potem, gdzie nas miał kazać zawieść; a gdyśmy chcieli jechać do Mścisławia, kazał dla mnie wóz zaprządz w parę koni, w którym pościel posłano, i w nim mię jak w trumnie położono, bom już wielki ból czuć zaczął i nogi porószyć nie mogłem. Posadzono też na wozy i drugich ranionych, oraz wieziono do Mścisławia, trzy mile od tamtego miejsca odległego. Z naszej strony było postrzelanych i porąbanych i dużo zbitych, osób dwanaście, a z drugiej strony daleko więcej. Pan Bóg jednak dał że żaden nie umarł, lubo jeden chłop Korsakowski był wskroś przestrzelony.

Samym zmrokiem mijaliśmy państwa Bobryków, którzy rozumiejąc, że nas wieźli do kancelaryi, chcieli odbić; ludzie zaś Korsakowscy o tem przestrzeżeni, obawiając się aby ich niepochwytano i niewieziono gdzie do sądu, pozsadzali nas z wozów przy karczmie, a sami z końmi i wozami pouciekali.

Nimeśmy tedy od tychże Imć państwa Bobryków wygodnych dostali pojazdów, noc zeszła; więc stanęliśmy nazajutrz w Mścisławiu około godziny 7. zrana. Posłałem wraz po cyrulika, sławnego żyda Mordę; lecz zamiast niego przywieziono mi innego, Majera, o którym mówiono że lubo jest dobry cyrulik, ale do pacyentów nieszczęśliwy. Bardzom się więc zalterował, i kazałem koniecznie sprowadzić Mordę; lecz on przyszedłszy powiedział: „że ponieważ przedemną inszy był cyrulik nieznany, ja podług prawa naszego następować na jego pierwszość nie mogę.“ Zatrzymałem więc ich obydwóch, przyrzekłszy im dać bitych pięćdziesiąt; ale oni się godzić niechcieli, zdając się na dyskrecyą: nie wiedzieli bowiem jaki postrzał, aż go opatrzyli pierwszy raz, który szedł od kostki pobocznej w górę przez goleń.

Noga już była spuchła niezmiernie i czarność się pokazała, przeto cyrulicy nieco się trwożyć poczęli; nadszedł zaraz ksiądz aptekarz Jezuita Ejmond, i zaczął mi dawać a d i n t e n d e, rozmówiwszy się cicho z żydami, abym się dysponował. Nazajutrz tedy raniuteńko zawokowawszy do siebie Imć księdza Barańskiego, Jezuitę, dysponowałem się jak na śmierć. Po spowiedzi w godzinę i dalej nastąpiło drugie opatrzenie: cyrulicy rozwiązali nogę w przytomności aptekarza, na którego patrząc Morda, pytał się coby rozumiał o tym postrzale; aptekarz mu po niemiecku powiedział: że może we 24ch godzinach umorzyć pacyenta. Co ja zrozumiawszy, porwałem za rękę aptekarza, i zakląłem na Boga żywego, aby mi prawdę powiedział, czy mogę żyć lub nie? Zmieszany aptekarz powiedział mi, że już wpadła gangrena, i podobno trzeba będzie piłować nogę.

Mnie natenczas poszedł pot po całem ciele, jakby mnie wodą oblał, takem się uląkł, lecz wraz dałem rezolucyą: już jeżeli mogą mi salwować życie bez piłowania nogi, nech mnie kurują; jeźli zaś nie, niech idą precz, bo wolę ten czas strawić ze spowiednikiem. Morda tedy mi powiedział, że ponieważ są to tylko początki gangreny, więc może być, że jeszcze kość nią nie jest zarażona, a zatem trzeba uczynić operacyą, to jest: wszystką czarność wyrznąć do kości.

Pozwoliłem więc na to, i wraz Morda koło nogi mojej się zawinął; a ponieważ żadną miarą nie chciałem wziąść opium, obawiając się, aby mi nogi nie piłowali: namieszał więc Majer szklankę wódki na pół z wodą, i włożył dostatkiem cukru; mogło być ze wszystkiem blizko kwarty, i dał mi wypić, co mnie tak odurzyło, że żadnego bolu w nodze nie czułem. Najprzód tedy Morda rozciął skórę od rany do rany, potem zawlekłszy igłę rymarską niegrubą, przeciągnął przez brzeg, i złożywszy nić we dwoje, podniósł w górę że się aż natężyła skóra, i po zdrowem miejscu ani czarnością, ani sinością nie zaszłem, rznął brzytwą. Natenczas uderzyły na mnie srogie poty, i od bolu wielkiego oddech mi się zatamował, oraz takem się wytrzeźwił, iż zdało mi się, żem kropli wódki niepił. Gdy urznął zrazów kilka dużych, coraz igłą zawlekając, pokazała się kość dalej biała, a zatem Mordka zaczął mi winszować i pod gardłem upewniać, iż mię wyleczy. Po owym tedy przestrachu, usłyszawszy dobrą nowinę, wpadłszy w dobry humor, nie zważałem już bolu; owszem sam wziąwszy od żyda brzytew, wyrznąłem sobie czarność która w małych kawałeczkach jak konopne ziarno, różnie się po ranie znajdowała. Rana się zrobiła na półtora ćwierci łokcia długa, a więcej jak na pół ćwierci szeroka, i krew się z niej niezmiernie lała, miejscami jak z fontanny wytryskując, którą pierwej tamowało sukno i skóra od buta, kulą w środek postrzału wciąguiona, przeto i była puchlina tak nagle poszła. Wziął powtórnie szklankę wódki cyrulik, i niby chciał mi dać wypić; od czego gdym się wzbraniał, przybliżywszy się wylał mi ją na ranę; co mi taki ból sprawiło, żam ani przemówić, ani krzyknąć nie mógł: ale ten ból nie trwał długo, i rana się wyczyściła. Zaraz mi lekkie maści przyłożono, wmieszawszy nieco egipcyanum, i mocno nogę obwiązano, przestrzegając, iż jeżli zawiązania słabieć nie będą, aby dawano znać cyrulikom; jeżli zaś osłabieją, tedy zostawiony przy mnie cyruliczek miał mocniej ścisnąć.

(D. n.)

Rozmaitość.

* **Znad Sanu.** Przed kilką tygodniami byłem za interesami na Podolu i przejeżdżając przez Stanisławowskie, wstąpiłem umyślnie do Koropca. Nasłuchałem się tyle cudnych rzeczy o stadzie i stajni dziedzica Koropca, p. *Antoniego Mysłowskiego*, że mnie nieposполita porwała ochota, odwidzić ten, jak mi nieraz mówiono, jedyny w kraju naszym podobnego rodzaju zakład. I rzeczywistość tym razem nie zadała kłamstwa ani cudzym opowiadaniom, ani moim nadziejom. Prawdziwie zastanowić się musiałem, jakim to sposobem stać się mogło, że dotąd u nas, którzy tak lubimy się rozpalać do rozmaitych przedmiotów, i podziwiać lada co, nikt się nie znalazł, któryby w jakiem piśmie krajowem nie dał przecie jakiej choćby wprost statystycznej (gdyby nawet bez wykrzykników) wiadomości o koniach pana Mysłowskiego. A przecież, pomijam już sam opis, który znakomitemu pióru dałby przedmiot niepospolity, a malarzowi lub rytownikowi niewyczerpane źródło do obrazów koni, Verneta godnych*), czyliż nie warto wspomnienia że założenie takiej stadniny wyborowej na taki stopień, jest to przecie wzbogaceniem kraju. I zaprawdę nic siebie nie wzbogacił, kto kosztem największej części swoich znacznych bardzo dochodów, utworzył i dotąd utrzymuje to stado jedyne co do ilości, a mianowicie co do jakości nie tylko w naszej prowincyi, nie tylko na całej ziemi polskiej, ale nawet może na całym kontynencie. Nie chcę ja się tu wdawać w zimny rozbiór ekonomiczno-polityczny, i zapatrywać się na konie p. Mysłowskiego z tego stanowiska, które im mniej u nas rozumieją tem chętniej na nie wyłażą, i niestworzone bredzą rzeczy: ja powiem po prostu tylko, że niech sobie kto gada, co chce, takie stado i takie konie jakie widziałem w Koropcu, są niezaprzeczonym zyskiem dla kraju, bo jużciż ulepszenie rasy zwierzęcia tak szlachetnego i pożytecznego jak jest koń, zawsze i wszędzie ludzie najwięcej ekonomiczno-polityczni uważali za wzbogacenie kraju. We wszystkich krajach takie stado uważano by za prawdziwą ozdobę kraju, i nie bez pewnej wdzięczności patrzanoby na tego, który w utworzenie onego rzucił znaczną część majątku swego.

A że konie p. Mysłowskiego, i całe urządzenie w tej mierze Koropieckie, znalazłyby w każdym kraju słuszne ocenienie proszę wierzyć mnie, który miałem sposobność widzieć znakomite stajnie w Niemczech i Francyi. Nie mówię już o koniach stajennych, nie mówię o niektórych klaczach i ogierach, ale w ogóle pomiędzy młodzieżą są exemplarze takiej piękności i dzielności, jakbyś je przypędził prosto z błoni Hampschyru. Najzimniejszy człowiek zdoła się zapalić w Koropcu, i nabrać namiętnej do koni passyi. Aby dać wyobrażenie co to p. Mysłowskiego kosztować mogło, powiem tu w krótkości kilka znajomych mi w tej mierze dat. Wiadomą jest rzeczą, jak jest trudno przyjść do ogierów angielskich, które nawet nie wolno z Anglii wyprowadzać bez pozwolenia rządu niechętnie dawanego. Owoż p. Mysłowski kupował na miejscu najpiękniejsze klacze i niezważając na ogromne koszta póty z niemi siedział i pielęgnował je w Anglii, póki nie przyszedł do źrebiąt, na miejscu urodzonych po najpiękniejszych i najsławniejszych ogierach. W ówczas dopiero sprowadzał do kraju klacze wraz z źrebiętami. Jakie to są owe wydatki przewozowe, każdy nie znawca i nie doświadczony łatwo zrozumie. Tym tedy sposobem przyszedł p. Mysłowski do stada, w którem jest najmniej 70 do 80 folblutów, a przeszło 200 halblutów. A jakiej wartości są między niemi konie, dosyć będzie powiedzieć, że za pożyczenie ogiera na lat trzy wziął p. Mysłowski od hr. Br.... z Rossyi 2000 półimperjałów. Wszyscy znawcy którzy mieli sposobność widzieć konie koropieckie, niemogli się dosyć nachwalić ich rasy, piękności i utrzymania. Pana Mysłowskiego zaszczycili bytnością swoją arcyksiążęta Ernest i Albrecht, i obaj mu oświadczyli uznanie swoje w najpochlebniejszych wyrazach. I nie może być inaczej, bo przekonany jestem, że to samo każdy cudzoziemiec, gdyby najwięcej był przesycony widokiem pięknych koni, przyznać będzie musiał na widok koni p. Mysłowskiego. Przy pierwszej nareszcie bytności naszego najmiłościwszego Monarchy na własne Jego żądanie, przyprowadził p. Mysłowski kilkadziesiąt koni swoich do Stanisławowa. Najjaśniejszy Pan raczył oglądać je z zadowoleniem, i wjeżdżał nawet do Stanisławowa na koniu pana Mysłowskiego, którego sam właściciel wybrał. Koń ten chowany dotąd na pamiątkę w stajni p. Mysłowskiego, jest wielkiej urody, i dzielnym ogniem obdarzony.

---

*) Konie pana Antoniego Mysłowskiego wszystkie prawie są malowane. Jest to pyszny zbiór, którego ozdobą największą jest przeważający w nim pędzel naszego Kossaka. (p. r.)

* W przeszłym tygodniu nieszczęśliwy wypadek był powodem wielkiego zbiegowiska w rynku. Młody chłopczyna sześcioletni, rozpocząwszy od kilku dni swą karjerę szkolną, nie mógł przyzwyczaić się do porządku szkolnego i za swawolę, po godzinach szkolnych zamknięty został wraz z drugim w izbie szkolnej. Lecz zaledwie nauczyciel z dziatwą zeszedł na dół, chłopczyna wybił okno i skoczył z pierwszego piętra. We trzy godzin Bogu oddał ducha.

* Inne znowu zdarzenie zajmowało przez kilka dni publiczność tutejszą. Majętny obywatel jedynaczkę córkę wychowywał w tak (grzecznie powiedziawszy) niedorzeczny sposób, przybrawszy sobie do pomocy pewne rodzeństwo, słynące z excentryczności, iż sąd w tę całą sprawę wdać się musiał, odebrał im córkę z urzędu i umieścił w konwikcie.

* Przy nowej organizacyi sądowej i politycznej nieumieszczonych ma być 8320 mandataryuszów, justyaryuszów, aktuarjuszów, magistratualnych i innych urzędników. Wielka część znajdzie zapewne umieszczenie, skoro organizacja się rozwinie i okaże się potrzeba powiększenia personalu. Wielu jako diurniści, lub jako pisarze gromadzcy znajdą zatrudnienie. Gminom zaś zlecono swych urzędników, nieumieszczonych nigdzie, utrzymywać aż do dalszych zarządzeń.

Przyjechali od dnia 6. do 8. Października do Lwowa.

Hr. Skarbek Władysław, z Tarnopola. Hr. Karnicki Teodor, z Michałowiec. PP. Mautner Mateusz, z Gródka. Geringer Oedenburg Józef z Barszczowa. Onyszkiewicz Adryan, z Złoczowa. Hoszowski Narcys, z Stryja. Ostermann Jan, z Tarnopola.

Hr. Czacki Alexander, z Krechowa. PP. Niezabitowski Napoleon, z Nakła. Szczepański Teodor, z Czajkowiec. Brzeżany Maurycy, z Koniuszek. Orłowski Felix, z Zagrobeli. Klein Hipol. z Żółkwi. Sozański Antoni. z Tarhanowiec.

Wyjechali od dnia 6. do 8. Października ze Lwowa.

PP. Br. Smola. do Przemyśla. Smarzewski Alexander, do Brodów. Dobrzański Stanisław, do Daszawy. Szczepański Władysław, do Wiśniowczyka. Pohorecki Kajetan, do Horpina. Neusser Wilhelm, do Krakowa. Grochowski Kazimierz, do Gajów.

JExcell. Pfanzelter, do Komorna. Hr. Karnicki Kaj. do Polski. Hr. Potocki Adam. do Krakowa. PP. Sozański Antoni do Tarhanowiec. Napadiewicz Alexander, do Więckowiec. Kozłowski Anastazy do Malawy. Graff Jan do Rzeszowa. Onyszkiewicz do Borusowa. Siemianowski Bronisław. do Torska. Fillatoff, do Bzereiowiec.

Kurs telegrafowany z Wiednia 8. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	113	Pożyczka 5%	$74\frac{1}{4}$ —
Hamburg za 100 tal. banco	$82\frac{1}{2}$	Akcye banku	1069
Londyn za 1 funt szterl.,	11	Kolej północna	1995
Medyolan za 300 lirów	$111\frac{1}{2}$	Obl. ind.	66
Paryż za 300 franków .	$131\frac{3}{4}$	Nowa pożyczka z loterya	$95\frac{3}{4}$
Agio duk. ces.	$17\frac{5}{8}$	Pozyczka narodowa . .	78

Wczorajszy Kurs Lwowski

	Gotówka				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	17	złr.	5	kr	21
Dukat cesarski	„	5	„	21	„	5	„	24
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	9	„	9	„	12
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	45	„	1	„	46
Talar pruski	„	1	„	41	„	1	„	43
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	15	„	1	„	16
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	91	„	30		92	„	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		65	„	30	„	66	„	30
5 proc. pożyczka narodowa		78	„	30	„	79	„	15

Podpisany, wysłany od wysokiego c. k. namiestnictwa dla leczenie zapadłych na cholerę w państwach Buska i Stronibaby, poczytuję sobie za święty obowiązek plebanowi r. g. księdzu Tarnawskiemu w Połonicznie w imieniu ludzkości wyrazić najszczersze dzięki za jego poświęcenie się w czasie grasującej cholery. Ani okropność tej zaraźliwej choroby, ani jęki konających nie odstraszyły go od towarzyszenia mi od jednego chorego do drugiego, od chaty do chaty. A wszędzie był pocieszycielem, wszędzie radą i czynem dopomagał. I udało mu się chłopkom naszym, bojącym się lekarza jakby cholery samej, wlać przekonanie o potrzebie i skuteczności umiejętnego leczenia, tak dalece, iż potem mnie samego o pomoc lekarską prosili.

(182) **Dr. Józef Kohn.**

Wspomnienie pośmiertne.

W dniu 30. Września r. b. zeszła z tego świata w 39. roku życia **Anna Mańkowska,** żona tutejszego obywatela i kupca. — Kiedy głośne czyny, zasługi koło dobra publicznego, odznaczający się w różnych zawodach mężowie, uczczeni bywają pochwalnemi wyrazy po skonie, urońmy tu łzę szczerego żalu po śmierci kobiety, która tak zaszczytnie rozwiązała zadanie żony, matki i obywatelki, pocieszmy nieutulonych w smutku męża i dziatki pozostałe tem zapewnieniem, że zawczesny skon tej cnotliwej kobiety, boleśnie dotknął wszystkie warstwy mieszkańców Lwowa, i że pamięć zmarłej długo niewygaśnie w sercach umiejących cenić prawdziwą cnotę.

Lwów, 6. Października 1855. (183)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**